

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

10)

— Cóż — gadał — ja Litwin prawdziwy i mnie Litwa na sercu leżąca, a nie Polska. Ja przyjechawszy tutaj, powinienem był do was rzec: *Ne suprantu lankiskaj*, nie rozumiem po polsku, ale cóż? Ot, skóry przyrodzonej nie zrzucisz ze siebie. Urodził ja się w Koronie i wychował w Koronie, taki zostało we mnie coś zawsze z Koroniarza, chociaż ja pracowawszy, pracowawszy ciężko nad sobą przez lat dwadzieścia bywało, żeby skórę koroniarzką ze siebie zrzucić. Ale taki zupełnie jej nie zrzucił.

— Ale dlaczego stryjaszek masz z siebie zrzucić skórę polską, koroniarzką, jak ją nazywasz? — zapytał Stanisław.

— Taj widzisz serce, ja sobie siedzący w moim zaścianku, w głąsży ihumeńskiego powiatu, w kacie, deskami zabitym od świata, ale ja patrzę i ja myślę. Nu i co? ja patrzę na Litwę, czytam różne dzieła i cóż ja widzę? Oto że Polska zawsze tylko nieszczęście Litwie przynosiwszy. Gdyby nie wy, Litwaby zupełnie inną poszła i rozwinęła się drogą. A tak co? zabieraliście jej przez czterysta lat całą inteligencję i zrobiliście Litwę chłopską. Bo taki ktoś tam jest Litwinem? tylko chłop i przez was to Litwa nie odegrała w historii należytej roli.

— Co też stryjaszek mówi! — zawołał Stanisław — gdyby nie Polska, Litwa oddawna, jako taka, nie istniałaby na ziemi. Zjedliby ją Niemcy, a potem kto inny. Prawda, że jej inteligencja spolonizowała się, ale jest to naturalne następstwo wyższości kultury i cywilizacji, ale dzięki właśnie Polsce Litwa mogła zachować po dziś dzień swe etnograficzne właściwości i język i obyczaj.

Stryj w dalszym ciągu rozwijał swoją teryę, że Litwa wszystkie nieszczęścia zawdzięcza przymusowemu związkowi z Polską, że musi się to raz skończyć i nieszczęśliwa ojczyzna Mickiewicza będzie żyła własnem, nie pożyczanem życiem i rozwijać wrodzone sobie przymioty, że język polski, wszędzie gdzie on tylko istnieje na Litwie, a głównie w kościele, winien być wyparty i zastąpiony litewskim, że wszelkie pretensje Polaków do Litwy raz na zawsze muszą być wyteplone.

— Alboż Polska ma jakie pretensje do Litwy? — zapytał Stanisław.

— Taj jakże, ma ciągle. Ot na przykład chcą Polacy, aby w kościołach litewskich kazania odbywały się po polsku. Powiedz ty mnie, serdeczko, dlaczego to ma być tak, skoro lud jest litewski. Albo co, pozakładali w Wilnie pisma polskie, żurnale, gazety, a Wilno taki jest stolicą Litwy.

— Nie przeczę, ale stryjaszek także nie zaprzeczy, że na Litwie jest poważna liczba Polaków, którzy mają słuszne prawa, by dla nich kazania odbywały się po polsku i by mogli czytać gazety polskie.

— To niech wypisujący je z Warszawy.

Był na tym punkcie nieublaganym, domagał się wszystkich praw dla Litwinów, odmawiając ich Polakom, a gdy Stanisław wyraził zdziwienie, że jego nowy stryjaszek, będąc Polakiem „korzennym“, jak się wyrażał Siergiej Bolesławicz, okazuje taką niechęć do Polski i taką gwałtowną miłość dla Litwy, pan Józef odrzekł:

— Taj to prawda, co ja będący z rodu Polak, ale ja się zlitwił zupełnie. Ja, widzisz serdeczko, jestem za sprawiedliwością, mnie żal tego ludu, który Polacy chcieli spolonizować.

— Ale nie spolonizowali.

— A nie, bo Litwini się nie dali. Uparty to i twardy naród, jak skała. Ja siedzę między nimi dwadzieścia pięć lat i powiedzieć tobie trzeba, co ja ich pokochający i robiący wszystko, co można, żeby w nich duszę litewską obudzić. Ja tobie braciasku i to powiem, co jaby tu nie przyjechawszy po tę tam jakąś sukcesyja, bo co u mnie po pieniądzech, dzieci u mnie ani żonki niema, a zaścianek taki jest i trzydzieści przy nim dziesięcin ziemi. To co mnie po pieniądzach. Chłódnik zawsze u mnie będący i kolduny i starka, a to mnie wystarczy i boćwina też. Czegóż więcej potrzebujący być mogę?

— Skoro tak, to nie rozumiem, po co stryjaszek tu przyjechał?

— Taj po to, żeby tej sukcesyi użyć na propa-

gandę odrębności litewskiej i taki ja swoje robiący. Ty serce, braciasku, jak myślisz, dużo tu będzie pieniędzy?

— Nie wiem. Skądże mam wiedzieć?

— Hm! bo to nieboszczyk brat Teodor bogaty. Ja to wiem.

Wypytywał się jeszcze o szczegóły co do spodziewanej sukcesyi, ale Stanisław zbył go jedną odpowiedzią, że nie wie o niczem, wreszcie rozmowa znów przeszła na owe nowe dążności Litwinów, nie chcących żadnego związku z Polską. Stanisława mocno drażniła ta okoliczność, że stryjaszek Józef, sam będąc Polakiem, przyjmował stronę Litwinów i okazywał prawie nieprzejednaną niechęć do Polski i Polaków. Napróżno tłumaczył zacietrzewionemu Litwinowi, że Litwę bez Polski byłoby dawno sąsiednie Niemcy pochłonięły, że Litwa swój byt i swoją kulturę zawdzięcza Polsce, że jeżeli szlachta litewska się spolonizowała, to stało się to nie skutkiem gwałtu i nacisku jakiego ze strony polskiej, ale wskutek wyższości jej kultury, drogą dobrowolnej ewolucji, że nakoniec lud litewski jest na zbyt niskim stopniu cywilizacji, by mógł odegrać tę rolę polityczną, jaką mu chcą narzucić różni marzyciele w rodzaju stryja Józefa.

Stryj Józef na wszystkie te dowodzenia uśmiechał się szydersko, ruszał ramionami, rozwichrzoną brodę gładził i odpowiadał, śpiewając szpetnie:

— Taj cóż, zobaczysz braciasku, co to Litwa znaczy.

Dyskusja przedłużała się, rozdrażniała nawet Stanisława. W czasie kolacji Miller, jak zwykle, tonem wyższości głosił, że wszystko, jak jest obecnie w Polsce, jest dobrem, bo rząd opiekuje się handlem i przemysłem, pozwala ludziom porządnym żyć i zarabiać dobrze, na co stryjaszek Józef śmiał się głośno i klepiąc z oburzającą Millera poufałością po brzuchu, gadał:

— Taj, krewniaku Millerze, brzuszek ci urosłszy na polskim chlebie i wiadomo ci zapewne, że świnia najlepiej tyje w błocie i gnoju.

Rzekłszy to, zaśmiał się, wstał i biorąc Stanisława pod rękę poprowadził go do ogrodu, mówiąc:

— Ot chodź, serdeczko, pogadamy jeszcze o Litwie i Polsce.

Poszli tedy. Wieczór był cichy i ciepły, prawdziwy wieczór letni. Lipy kwitły i szedł od nich słodki aromat i szmer senny, rozmarzony. W dojrzwających łanach żyta przepiórki ćwierkały i bąk gdzieś huknął i tysiące głosów jakichś tajemniczych drgało w łagodnej atmosferze wieczornego powietrza. Poprzez gałęzie drzew migotały gwiazdy na ciemnym błękitnie nieba, psy we wsi naszczekiwały a pastuch pasący konie na wygonie, tuż za ogrodem dworskim, wygrywał tęskną melodię na fujarce. Stanisława ta noc letnia rozmarzyła, szedł nie słuchając prawie dowodzeń stryjaszka Józefa, zagłębiając się w denerwujące myśli o znikomości życia ludzkiego i o marności wszelkich zabiegów ludzkich.

Te marne lipy, mówił sobie, mają dłuższe życie niż człowiek. Będą przez dwa i trzy wieki tak samo szemrały i kwitły i słodki aromat dokoła rozsiewać będą, kiedy ja gnąć będę w ziemi i ze wszystkich moich myśli i moich marzeń i pragnień nic nie zostanie. Jakże nędzną, jak godną pożalowania jestem istotą!

I zwracając się do stryjaszka Józefa, który prawł swym śpiewnym głosem o niespożytych młodzińskich siłach, tkwiących w narodzie litewskim, rzekł:

— I powiedz mi stryjaszku, na co się to wszystko zdało?

— Jakto na co?

— Zastanów się, czyż nie umrzemy jutro, może dziś jeszcze i czy cała Litwa i Polska i wszystkie ludy ziemskie ze swojemi pragnieniami, walkami, zmieniają choć na jotę bieg rzeczy przyrodzenia?

— Taj serceż ty moje, ja ciebie nie rozumięjący. Czegóż tobie chce się?

— Czego ja chcę, czego ja chcę! Otóż to, że ja nic nie chcę, bo wiem, że wszystkie moje usiłowania, wszystkie moje dążności nie mogą dokonać tego, by słońce stanęło w biegu, by ta gwiazda, którą tu widzę migającą między liśćmi, zgasła lub znowu się zapaliła. Umrę i ty stryjaszku Józefie umrzesz, a świat pójdzie swoją koleją.

— Prawdę jesteś mówiący, że umrzymy, ale także coś robić potrzeba, a nie myśleć o gwiazdach. Ty serdeczko sfiksowałeś, czy co? A co tobie do gwiazd i do słońca? Ty siedzisz na ziemi, skoro takie prawo mający i ty pracuj dla ziemi i nie patrz, co będzie jutro. Jutro! a ktoś może być wiedzący, co będzie jutro? Gdyby tak wszyscy byli myślący, jak ty braciasku, to ludzie mieszkaliby jeszcze w jaskiniach i z pałką polujący na niedźwiedzia. Łatwo sobie powiedzieć, nie będę nic robił, bo ju-

tro umrzeć mogę. Ale gdyby ty serdeczko nie miał dachu nad głową, wygodnego łóżka z materacem, ciepłego pokoju i kurcząt z sałatą na kolację, toby ty nie myślał o gaszeniu i zapalaniu gwiazd.

— A ten dach nad głową, to wygodne łóżko i kurczęta z sałatą, dał tobie, serce, cały szereg pokoleń, w ciężkiej, krwawej pracy zdobywających te wygodę, z których wnuki korzystają. Trzebaż, żebyśmy i my dla naszych wnuków lepszą, wygodniejszą możliwość istnienia przygotowali. A śmierć, cóż robić, zawsze ona przyjdzie, ale taki lepiej umierać w łóżku na piernacie, niż w jaskini na uschłych liściach, co?

Tak gwarząc o wiekuistych zagadnieniach ludzkich, zaszli niepostrzeżenie w najciemniejszy kąt parku, najbardziej zarosły i rzadko przez kogo odwiedzany. Na chwilę obaj umilkli, pogrążeni we własnych myślach, nie uważając, gdzie są, zasłuchani w tajemnicze głosy cichej nocy letniej. Nagle doszła ich z poza gąszczu krzaków i niskiego wału, otaczającego park z tej strony, jakaś półgłówna rozmowa. Stanisław przystanął i odrazu poznał, że mówiącym jest pan Antoni Jasiński. Przypomniał sobie, że tego podejrzanego kuzynka nie było na kolacji i że pani Schmid narzekała na to i schowała dla nieobecnego całe jedno kurczę. Otóż pan Jasiński mówił:

— Co to zwlekać. Psiakrew, trzeba raz z tem skończyć. Ogłosimy tu rzeczpospolitą, wybierzemy zarząd i niech drżą burżuje. Macieź broń?

— Mamy — odrzekł głos gardłowy, po którym Stanisław poznał Michaiła Srulewicza Mojsiejewicza, Litwaka, który na wiecu robotniczym przed kilku dniami tak dużo gadał o burżujach i o tem, że Polska do żydów należy.

— Ile sztuk?

— Sto pięć brauningów i mauzerów też kilkanaście — odpowiedział po rosyjsku — to starczy.

— A naboje?

— Da kakże, bez naboju byłoby? są...

— To dobrze. Ja rzecz całą, cały plan ułożę, a potem do roboty. Wówczas sędziami będziemy my! — zaśpiewał i zaśmiał się szydersko.

— Da, pan towarzyszc, a dieńgi? Bez dieńgów nikak nic nie zdiełamy.

— I dieńgi będą.

— A skąd?

— Skąd? stamtąd! — zawołał Jasiński, wskazując na dwór. Za parę dni sprawa sukcesyi, o której wam mówiłem, rozstrzygnie się i pieniądze będą. Bądźcie tylko gotowi na mój znak. Napadniemy burżujów i odbierzemy wszystko, a mając krocie w rękę, przewrócimy tu wszystko do góry nogami i stworzymy rzeczpospolitą proletaryatu. Cóż towarzysze i towarzyszki, dobrze rzecz obmyśliłem?

— Doskonale.

— A więc czekajcie na moje hasło i rozejdźmy się, bo tu może nas kto podsłuchać. Ja też muszę się spieszyć, żeby podejrzeń nie wzbudzać. Do widzenia więc! Śmierć burżujom! Niech żyje proletaryat i czerwona republika!

XIV.

Pani Schmid siedziała w swym pokoiku tuż przy kuchni i płakała rzewnie. Pokoik był niewielki ale schludny. W jedynym oknie, wychodzącym na ogród, wisiały białe franki, stały doniczki z kwitnącem geranium i fuksyą, szklane naczynia do łapania nieszczęśliwych much i wisiała klatka z ciągle świergoczącymi kanarkami. Przy jednej ze ścian umieszczone było łóżko zasłane, aż po sam sufit nieomal, poduszkami i pierzynami, a nad niem wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w złotych ramach, cały czerniał; tylko tu i owdzie przeświecały złocenia na koronie i groźnie patrzyły duże, surowe oczy. Za obrazem, zatknięta za ramę, sterczała wiązka kłosów pszenicy, palma i gromnica, przewiązana błękitną, spłowiałą wstążką.

Na małym stolczku tuż pod oknem leżała czerwona aksamitna poduszczyca do szpilek, gruba książka do nabożeństwa, w skórę oprawna, mocno zniszczona i zabrudzona, widocznie od częstego, długoletniego używania, a z niej zwieszała się zakładka haftowana z napisem „mojej mamie“ i „rok 1901“. Obok książki leżał różaniec i stały w czarnych ramach trzy fotografie. Jedna z nich, nieco na bok odsunięta, przedstawiała mężczyznę z dużemi, wypukłemi oczyma, czarnym wąsem obwisłym, z pod którego wyglądały wargi grube, zmysłowe. Był to portret nieboszczyka pana Teodora Kozłowskiego. Siedział na rzeźbionym fotelu z głową zadartą do góry, rozparty, dumny, próżny, z resztkami ciemnych włosów nad czołem.

Dwie drugie fotografie otoczone starannie wień-